

Hysteria

Po drugiej
stronie drzwi

Anysha



Graphics by gloomy

Hysteria is everywhere

Po drugiej stronie drzwi

Anysha

Przy szaleństwie trzyma nas świat

„Absurd”

Ryszard Chęstochowski

... Nikte światło sączyło się z niewielkiego otworu tuż pod sufitem. W pomieszczeniu panował półmrok. Promienie słońca układały się na podłodze w wąską strużkę rozdzielającą pokój na dwie części. Z lewej znajdował się metalowy stół i dwa krzesła, z prawej zaś piętrowa prycza, na której spało dwóch mężczyzn. Na górnym pościeliu spoczywał odkryty do połowy, rudowłosy mężczyzna. Włosy sięgały mu do policzków. Potargane leżały na białej poduszce. Jedną rękę miał włożoną pod głowę, a druga spoczywała na piersi. Oddychał miarowo i spokojnie. Na dolnej zaś pryczy spał całkowicie przykryty mężczyzna o jasnych, niemal białych, krótko ściętych włosach. Był nieco młodszy od swego towarzysza. Jego twarz była gładka i nieznaczona bliznami czasu, zmarszczkami. Skóra miała zdrowy odcień. Pod dolną wargą pełnych ust znajdowała się niewielka, biała blizna, pamiątka z dzieciństwa. Jego oddech był szybki i przerywany. Co chwila przerzucał się z boku na bok i mamrotał pod nosem. Nagle poruszył się gwałtowniej, niż do tej pory. Zamruczał gardłowo i zamachał ręką, jakby odganiając się od czegoś. Znowu zamruczał coś niewyraźnie i naraz poderwał się do siadu. Uderzył się przy tym głową o górną pryczę.

– Co jest? Co się dzieje? – wymamrotał mężczyzna z górnej pryczy wychylając się.

– Nic. Niech pan śpi dalej – odparł jego współlokator.

– Znowu niespokojne sny. Czy to się nigdy nie skończy? – westchnął kładąc się z powrotem.

– Nie rozumiem, jak pan może spać spokojnie.

– Najwyraźniej mogę.

– Czy pana nie dręczą żadne koszmary, wizje? – spytał mężczyzna z dołu także się kładąc.

– To wizje, czy koszmary?

– Wszystko jedno.

– Dla mnie – nie. Mam wizje, nie koszmary.

– Jakie wizje? – zapytał mężczyzna z dołu. Leżał na plecach. Jedną rękę schował pod głowę, a drugą położył na granatowej kołdrze.

– Różne – westchnął cicho towarzysz z góry. Spoczywał na boku, twarzą do ściany, na której przychepione były trzy fotografie. Pierwsza, dość duża, przedstawiała kobietę, która mogłaby uchodzić za piękną, gdyby nie zbyt wystające kości policzkowe i pociągła twarz. Siedziała na taborecie. Gorset w kolorze wina ciasno opinał jej pierś, a spódnica w nieco jaśniejszym odcieniu gładko spływała do ziemi. U boku trzymała wiolonczelę obejmując ją, jak kochanka. Jej smukłe dłonie ciasno oplatały szyjkę instrumentu i jego bok. Głowę miała lekko przechyloną w prawą stronę. Ciemne, kasztanowe włosy spływały luźno okalając jej bladą twarz, w której wyraziście połyskiwały czarne oczy. Przywodziły na myśl dwa czarne klejnoty osadzone, zamiast oczu, pod gęstymi brwiami.

Kolejna fotografia przedstawiała tę samą kobietę z małą, może czteroletnią dziewczynką na kolanach. Dziecko miało gęste, ognistoczerwone włosy, które w małych loczkach otaczały jego okrągłą buźkę. Miała na sobie sukienkę w czerwono – czarną kratkę i białe rajstopki. Uśmiechała się promiennie. W jej oczach błyskały te same ogniki, co w oczach jej matki, z tą tylko różnicą, że oczy miała zielone ze złotymi refleksami.

Ostatnia fotografia ukazywała rudowłosą panienkę, może piętnastoletnią, ubraną w ciemno – zieloną suknię z gorsetem, który uwypuklał jej dopiero co rozkwitające piersi. Siedziała tak, jak wcześniej ta kobieta, będąca zapewne jej matką, na taborecie, a szczupłymi, bladymi ramionami obejmowała wiolonczelę. Miała łabędzią, długą szyję, którą otaczał czarny naszyjnik ciasno do niej przylegający z wiszącym, zielonym klejnotem ze złotymi refleksami. Ognisto – rude włosy luźno puszczone okalały jej szczupłą twarz z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, które tylko naznaczone zostały jasnym różem. Małe usta były lekko rozchylone w półuśmiechu.

Mężczyzna z górnej pryczy dotknął dłonią fotografii dziewczyny. Wodził palcami po jej ramionach. W pewnym momencie, z lekką obawą dotknął jej ust i zaraz cofnął rękę. Dotknął jej twarzy i ponownie szybko się wycofał.

– Jakie wizje? – powtórzył swe pytanie jego towarzysz.

– O wolności, o szczęściu.

– Może wspomnienia?

– Nie. Nie mam żadnych wspomnień. Nie chcę mieć. Mam tylko te wizje.

– A ja mam koszmary, których wolałbym nie mieć. Pana wizje o wolności to też byłyby moje koszmary.

– Niech mi pan opowie jakiś swój koszmara – poprosił mężczyzna z góry odgarniając rude włosy z twarzy.

– Śniło mi się, że ją widzę. Stoi na molo w długiej, czarnej spódnicy i bluzce w tym samym kolorze. Patrzy na morze, a wiatr rozwiewa jej rzeczy i jasne włosy. Biegnę do niej, wołam ją. Ona mnie jednak nie słyszy. A może słyszy, tylko nie chce odpowiedzieć, odwrócić się? Może to wcale nie ona? Może to tylko jej cień? Już prawie do niej dobiegam, już jej niemal dotykam, a ona nagle skacze do wody. Zatrzymuję się na krawędzi i spoglądam w dół. Spienione fale rozbijają się o pale mola. Nie widać jej. Wołam i wołam, ale odpowiada mi tylko wiatr, tylko on mnie słyszy, i tylko on rozumie. Nienawidzę go. Nienawidzę go, bo dotykał jej włosów, jej twarzy, jej gładkich ramion, a ja nie mogłem. Bo wchłaniał jej zapach, a teraz roznosi go po całym świecie. Jestem gotów zaatakować go. Gdyby był namacalny rozszarpałbym go na strzępy, okładał pięściami, opluł. Wykradł z jego ramion jej zapach i zatrzymał w swoim sercu. Nie mogę jednak tego zrobić. Stoję więc i wdycham jej zapach, który jeszcze unosi się w tym miejscu. Zamykam powieki, a wiatr zwodzi mnie wizjami, że ona tam jeszcze jest. Że stoi przy mnie. Wyciągam więc ręce, aby jej dotknąć, ale natrafiam na pustkę. Wściekły otwieram powieki, a wiatr rozwiewa jej zapach i już go nie czuję.

– Skacze pan?

– Nie. Stoję i patrzę w morze. Nie mogę się zdobyć na ten krok, na ten ostateczny krok. Wiem, że całe moje dalsze życie bez niej, to będzie właśnie stanie nad przepaścią i patrzeć w morze, w którego falach znikła. Najgorsze w tym koszmara jest to, że jej zapach się rozwiewa. Tak, jak moje wspomnienia o niej, blednie i traci intensywność. Czasem mam wrażenie, że jest koło mnie, że jeśli wyciągnę rękę będę mógł jej dotknąć, tylko tego chcę. Jednego dotyku. Nawet nie pocałunku, tylko dotyku jej gładkiej, chłodnej skóry. Nie chcę, aby wspomnienia o niej rozwiewały się, ale tak się właśnie dzieje.

– Czy nie lepiej by było, gdyby pan zapomniał? Nie cierpiałby pan wtedy. Ja ciągle pamiętam zapach i dotyk mojej córki. Wciąż w uszach słyszę jej dźwięczny głos, czuję jej delikatny zapach i dotyk jej szczupłych palców na moim ciele. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

– Mówił pan, że nie ma żadnych wspomnień.

– Podczas snu. Ale kiedy nie śpię otaczają mnie ciasnym kręgiem, nie pozwalają zapomnieć.

– Tak, wspomnienia. . . Pan chciałby się ich pozbyć, a ja pragnę ich nade wszystko. Jak to się dziwnie w życiu układa.

– To nie jest życie – mruknął mężczyzna z górnej pryczy – To egzystencja. Kiedyś miałem wrażenie, że ja już dawno umarłem, a jedyne, co po mnie pozostało, to właśnie wspomnienia, które będą mnie dręczyć wiecznie. Dlatego zrobiłem to, co zrobiłem. Teraz jest inaczej. To kara.

– Kara. Niech mi pan opowie o swojej żonie.

– O żonie. . . O Helenie. Cóż ja mogę o niej powiedzieć. . . ?

– Jaka była, gdy się poznaliście?

– Och, jaka. . . jaka. . .

– To niech mi pan opowie o sobie.

– Więc dobrze. Ale nie ma co tu dużo gadać. Moja historia wiąże się z jej historią, ale skoro pan tak nalega. . . No dobrze, chociaż nie rozumiem was, „Nowych”.

– Nie jestem znowu aż taki „Nowy”. Już jakiś czas dzielę z panem tę przestrzeń.

– Dla mnie wszyscy jesteście „Nowi”. Ach, jakże chciałbym spotkać kogoś „Przeniesionego”. Tyle ciekawych rzeczy mógłbym się od niego dowiedzieć.

– Ma pan rację, ale od „Nowych” także można się wiele dowiedzieć. Choćby tego, jak jest na zewnątrz.

– No i co z tego. Nie interesuje mnie to. Ja chciałbym wiedzieć, jak długo jeszcze będę musiał tu tkwić, albo co się stanie, gdy już stąd wyjdę.

– Myślę, że nikt panu tego nie powie, ponieważ nikt nie wie.

– Taak. Ale ci, których przeniesiono, powinni wiedzieć trochę więcej.

– Ja chyba także chciałbym spotkać kogoś „Przeniesionego”. – Zapadła cisza.

– Niech pan opowie o sobie – porosił mężczyzna z dolnej pryczy.

– Och, widzę, że nie da pan za wygraną. No już dobrze. Niegdyś byłem reporterem. Skończyłem studia na stosunkach międzynarodowych w wieku dwudziestu czterech lat. Początkowo pisywałem do różnych gazet, byłem „wolnym strzelcem”. W wieku trzydziestu dwóch lat dorobiłem się używanego samochodu i maleńkiego mieszkania w wieżowcu. Nie mogę powiedzieć, że miałem powodzenie, ale na brak towarzyszek nie narzekałem. Nie jestem przystojny i zdaję sobie z tego sprawę, ale kobiety jakoś do mnie ciągnęły. Kiedy w wieku trzydziestu pięciu lat dostałem stałą posadę, jako redaktor naczelny pewnej znanej gazety, miałem już za sobą trzyletni, poważny związek. Rozstaliśmy się z powodu kilku nieporozumień. Doszliśmy także do wniosku, że nie potrafimy jednak iść na kompromisy w ważnych sprawach. Moją żonę, Helenę, poznałem całkiem nieoczekiwanie. Wybrałem się któregoś razu z dziewczyną do filharmonii. Zobaczyłem wtedy Helenę i nie mogłem już oderwać od niej oczu. Siedziała na scenie w drugim rzędzie po lewej. Grała na wiolonczeli, ale aby pan zrozumiał, muszę wyjaśnić, co to znaczyło – grała. Obejmowała wiolonczelę, jak najczulszego kochanka, przyciskając ją do swoich małych piersi, wyraźnie zarysowanych pod materiałem wieczorowej sukni. Głowę miała lekko przechyloną w lewo, niektóre niesforne kosmyki uwolniły się z ciasnego koka i otaczały jej szczupłą, pociągłą twarz. Wydawały się żywe. Tańczyły w rytm muzyki, którą grała. Oczy, te cudne, czarne oczy były lekko przymknięte. Dłonie o smukłych, białych palcach skakały delikatnie po szyjce wiolonczeli. Wyobrażałem sobie, że tak samo muska mój kark, niemal czułem ten dotyk: delikatny, mierzwiący włoski, przesywający prądem całe moje ciało. W drugiej dłoni trzymała smyczek, który z zadziwiającą lekkością gnał po strunach instrumentu wydobywając z niego cudowne, niebiański dźwięki. Jakże pokochałem wtedy tę muzykę i dłonie, które ją stwarzały. Po koncercie dowiedziałem się, jak zwie się ta kobieta i odtąd przychodziłem codziennie na wszystkie recitale, w których ona

grała. Pochłaniałem każdy jej ruch. Obserwowałem rozchylone lekko usta i wyobrażałem sobie, że ich odtykam. Chciałem być tą wiolonczelą, chciałem, aby to ona mnie dotykała, pieściła.

Po miesiącu nasze spojrzenia spotkały się ponad głowami innych widzów. Trwało to tylko chwilę, tuż przed występem. Patrzyła tylko na mnie. Marzyłem o tym, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Lekko się uśmiechnęła i zaczęła grać. Wtedy spostrzegłem, że przy pierwszych dźwiękach jej oczy zaszyły jakby mgłą. Proszę mnie dobrze zrozumieć, świeciły dalej, ale były nieobecne. Musiała wyobrażać coś sobie, jej myśli uleciały z tej sali, a może zespoliła się po prostu z instrumentem? Stała się ślepa, jak on. Po koncercie czułem się zobowiązany wysłać jej w podziękowanie za ten kontakt wzrokowy kwiaty. Następnego dnia przyszedłem nieco wcześniej i zobaczyłem, że szuka mnie wśród widowni. Starąłem się myślami, wzrokiem naprowadzić ją na mój ślad. W końcu mnie odnalazła. Znowu posłała mi uśmiech i tym razem przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. To było niemal jak kontakt fizyczny. Byłem pewien, że odczytuje me myśli. Nasze dusze na krótką chwilę stały się jednością. Znowu posłałem jej kwiaty. Tak było przez kolejny miesiąc. Nie marzyłem o niczym innym. To mi wystarczało. Czułem się spełniony. Któregoś razu zostałem nieco dłużej po koncercie. Przechadzałem się po salach filharmonii pijąc szampana i rozmyślając. Nagle zobaczyłem ją. Stała na korytarzu i rozglądała się rozgorączkowana. W pierwszej chwili chciałem uciec. Nie pragnąłem kontaktu, chciałem tylko patrzeć na nią, jak gra. Było już jednak za późno, zauważyła mnie. Zamarła w bezruchu. Miałem wrażenie, że trwa to wieczność. Patrzyliśmy na siebie i patrzyliśmy. Nagle ona się poruszyła. Zrobiła krok, potem następny. Niemal biegnąc zbliżyła się do mnie na wyciągnięcie ręki. Stałem, jak wmurowany. Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojej twarzy. Wodziła swymi szczupłymi palcami po moim szorstkim policzku, po skroniach, a ja przymknąłem oczy i w umyśle słyszałem graną przez nią tamtego wieczoru muzykę.

– A więc nie jesteś snem – wyszeptwała dotykając moich ust. Dotyk jej palców był delikatny, pieścizliwy. Niemal, jak pocałunek ducha.

– Więc i ty – wychrypiałem.

– Więc i ja – odparła i uwięziła moją dłoń między swoimi palcami, które tak kochałem. Poczekałem na nią i razem wybraliśmy się na spacer po mieście. Właściwie wcale nie rozmawialiśmy.

– Opowiedziałbym ci o sobie – westchnąłem wtedy. – Ale nie ma co opowiadać.

– Jak to?

– Moja historia zaczyna się dopiero wtedy, kiedy ciebie poznałem – odparłem. Przywarła do mego ramienia. Nie wierzyłem w swoje szczęście. Wciąż myślałem, że jest duchem, zjawą wyrwaną z moich marzeń.

– Ja ci w takim razie opowiem o sobie – rzekła, kiedy zatrzymaliśmy się przed witryną sklepu.

I opowiedziała. Miała na imię Helena. Jej ojciec był lekarzem, a matka pielęgniarką. Przyszła na świat zaledwie dwadzieścia osiem lat temu. Uczęszczała do szkoły muzycznej od piątego roku życia. Początkowo uczyła się grać na fortepianie, a dopiero w wieku dziesięciu lat na wiolonczeli. Miała siostrę, Amandę i kota Cezarego. Właśnie tak mi to powiedziała. W wieku dziewiętnastu lat wyprowadziła się z domu i zamieszkała razem z kotem niedaleko szkoły, w wynajętym mieszkaniu. Już w trakcie studiów pracowała w filharmonii. Miała jednego narzeczonego, ale nie chciała mi o tym opowiadać. Podejrzewam, że ją skrzywdził.

– Nie chcę o tym mówić – powiedziała – ponieważ od dzisiaj będą mnie spotykać tylko dobre rzeczy.

– Wierysz, że ja cię uszczęśliwię?

– Ja to wiem – wtedy zatrzymała się, dotknęła mojej twarzy i pocałowała mnie delikatnie. Wciąż pamiętam smak jej ust i zapach, który mnie otoczył. W głowie słyszałem wciąż muzykę. Spotykaliśmy się przez ponad rok. Ja niemal codziennie chodziłem na jej koncerty. Opuściłem chyba tylko dwa. Musiałem wtedy wyjechać za granicę. Nasze spotkania polegały głównie na spacerowaniu i milczeniu. Miała ładny głos, nie powiem, ale lubiłem tę ciszę. Czasami zachodziłem do niej do mieszkania i prosiłem, żeby grała tylko dla mnie. Siadałem wtedy na łóżku, a ona na krześle i zaczynała swój solowy koncert. Patrzyłem na nią i pochłaniałem każdy jej ruch, drgnięcie jej twarzy. Wciąż mam ten obraz przed oczami. Kiedy kończyła podchodziłem do niej i całowałem jej dłonie, później się kochaliśmy, a ja wciąż słyszałem muzykę.

Rok i trzy miesiące po naszym spotkaniu wzięliśmy ślub. Kupiłem dom jednorodzinny na przedmieściach i tam się przeprowadziliśmy. Nasza sypialnia była ogromna. Znajdowała się na piętrze, a z okna rozpościerał się widok na całe miasto, dom znajdował się na wzgórzu. Specjalnie nie założyliśmy zasłon, aby nocą było widać światła miasta. Łóżko znajdowało się zaraz obok okna. Było wielkie. Ściany pomalowaliśmy na ciemną czerwień. Mieliśmy dwie łazienki, obie wyłożone kafelkami i jeszcze jedną wolną sypialnię, pokój dla przyszłego dziecka. To zabawne, ale nie rozmawialiśmy w ogóle o tym. Nie wiedziałem, czy ona chce mieć dzieci, czy nie. Ja... sam nie wiem, czy chciałem. Ona mi w zupełności wystarczała. Na dole była kuchnia, ogromny salon z pianinem i kominkiem oraz mój gabinet. Kiedy wracałem zmęczony z pracy ona siadała w salonie, brała wiolonczelę i zaczynała grać, a wszystkie smutki i kłopoty natychmiast mnie opuszczały. Ja nie potrafiłem tak jej uspokoić i wyciszyć. Zdarzało się, że wracała z filharmonii rozszalszona, nie chciała wtedy dla mnie grać, a ja wściekałem się. Krzychałem na nią doprowadzając ją do łez. Zamykała się wtedy w łazience i płakała. Słyszałem jej szloch przez drzwi. Zły szedłem do swojego gabinetu i trzaskałem drzwiami. Przychodziła po godzinie przynosząc mi dzin z tonikiem i przepraszała. Jakże ja wtedy czułem się winny... Złościłem się jeszcze bardziej... odburkiwałem jej coś niegrzecznego i kazałem wyjść. Znowu zaczynała płakać. Potrafiłem tak przez kilka dni się do niej nie odzywać, ale kiedy przychodził koncert zjawiałem się w filharmonii i nasze spojrzenia znowu napotykały się w pełnej ludzi widowni. Posyłałem jej kwiaty i wszystko znowu było, jak dawniej. Do czasu, aż zaszła w ciążę. Muszę przyznać, że byłem zadowolony, to ona się zmartwiła. Nie chciała tego dziecka.

– Wszystko się zmieni, zobaczysz – mówiła. Cieszyłem się, jak głupi, kiedy urodziła córeczkę. Nazwaliśmy ją Daszą. Niestety Helena miała rację. Nie miała już czasu, aby dla mnie grać. Opiekowała się dzieckiem, to jemu poświęcała cały swój czas. Powoli zaczynałem nienawidzić Daszy. Dostrzegłem też, że moja Helena zmieniła się. W kącikach ust i oczu pojawiły się zmarszczki, dłonie stały się szorstkie, włosy zjaśniały. Ja też się postarzałem, ale tego nie zauważałem. Widziałem tylko jej wady. Chyba miałem nadzieję, że wiecznie będzie piękna. Dasza była uroczym dzieckiem. Niewiele płakała i wprost mnie uwielbiała, ale ja irytowałem się, kiedy chciała przychodzić do mnie na ręce. Zamykałem się w gabinecie i złościłem sam na siebie. Helena zrozumiała, że nie warto ze mną na ten temat dyskutować, zostawiała mnie w spokoju. Rzadko kiedy pojawiałem się w domu, chodziłem jednak wciąż do filharmonii, chociaż ona już tam nie grała. Może szukałem wśród innych wiolonczelistek mojej dawnej Heleny? Może kogoś, kto by mi ją zastąpił? Wdałem się jednak w romans z dziennikarką z pracy. Wysoką, lekko zaokrągloną dziewczyną o niebieskich oczach. Potrzebowałem odmiany, a ona była tak różna od Heleny. Znajomość trwała trzy miesiące. Obiecowałem jej, że porzucę żonę i zamieszkać z nią, tylko te kłamstwa nakłaniały ją, aby poszła ze mną do łóżka. Coraz bardziej jednak zdawałem sobie sprawę, że nie zostawię nigdy Heleny, nie mogłem. Była ode mnie zależna, coś byłem jej winien. Zerwałem romans z dziennikarką, a ona zwolniła się z pracy. Tego dnia wróciłem do domu i zobaczyłem

Daszę. W jej oczach świeciły te same iskierki, co w oczach jej matki. Miała już wtedy sześć latek. Rude włosy okalały jej szczupłą twarzyczkę. Cerę miała białą, jak mleko. Wyglądała przepięknie.

– Dlaczego ona nie gra? – zapytałem Helenę. Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Ona musi grać. Koniecznie na wiolonczeli – następnego dnia pojechaliśmy do szkoły muzycznej i zapisaliśmy tam naszą córkę. Okazało się, że ma tak samo dobry słuch, jak matka. Kupiłem jej wiolonczelę i chodziłem na jej lekcje. Siadywałem w kącie sali i słuchałem, jak uczyła się grać. Jej smukłe palce tak samo delikatnie pieściły szyjkę instrumentu, dłoń ze smyczkiem była szybka i sprawna. W domu razem z matką urządzali małe recitale. Zapalaliśmy ogień w kominku, obie w sukniach balowych siadywały na taboretach i zaczynały grać, a ja nie mogłem oderwać wzroku od Daszy. Staliśmy się nierozłączni. Wszędzie chodziłem z córką. Zabierałem ją do opery, filharmonii i do kina. Helena wróciła do swojej pracy, ale ja przestałem chodzić na jej koncerty. Bolało mnie to, jak wyglądała. Nie mogłem patrzeć na taką szpetotę. Wciąż przed oczami miałem jej poprzednie oblicze i nie byłem w stanie tego znieść. Dasza wyrosła na piękną, młodą kobietę. Byłem zafascynowany jej ciałem. Piersi zaczęły wypełniać gorsety sukni, biodra się zaokrągliły. Miała szczupłe, długie palce, tak, jak jej matka, z tą jednak różnicą, że jej ciało wciąż było gładkie i jędrne, skóra nie pomarszczona.

Helena. . . Ach Helena. . . oddaliła się ode mnie. Zrezygnowała z pracy w filharmonii. Przestaliśmy niemal rozmawiać. Całe dni spędzała w łazience, albo w salonie oglądając telewizję. Doszło do tego, że w ogóle nie wstawała. Nie sypiała w naszej sypialni, tylko w salonie przed włączonym telewizorem. Początkowo się nawet nie zorientowałem. Wstałem któregoś dnia i zobaczyłem, że jej nie ma koło mnie. Doznałem pewnej ulgi, ponieważ nienawidziłem jej dotyku. Zszedłem na dół i zobaczyłem ją przed telewizorem. Była ubrana w piżamę i przykryta kocem. W rękach trzymała butelkę szampana, pustą. Spojrzała na mnie przekrwionymi oczami poczym przełaczyła kanał.

– Co ty robisz? – warknąłem zabierając jej butelkę. – Jest szósta rano! A jak zobaczy cię Dasza? Co ona sobie pomyśli?! Idź natychmiast i oporządź się.

Wzruszyła ramionami, ale poszła. Kiedy jednak wróciłem z pracy zobaczyłem ją znowu przed telewizorem. Na podłodze leżały dwie butelki szampana, a ona spała. Próbowałem ją dobudzić, ale mamrotała tylko coś niewyraźnie. Zaniósłem ją więc do sypialni i zamknąłem drzwi na klucz. Dasza wróciła i zapytała, gdzie mama. Odparłem, że była zmęczona i poszła spać. Noc spędziłem na kanapie. Mniej więcej o trzeciej nad ranem obudziło mnie łomotanie do drzwi. To Helena się obudziła i chciała wyjść. Otworzyłem drzwi sypialni. Wyglądała potwornie. Była nie umyta, śmierdziało od niej alkoholem i brudem. Włosy miała potargane, makijaż rozmyty. Szybko, żeby Dasza jej nie widziała zaciągnąłem ją do łazienki. Kazałem się umyć. Cały czas pilnowałem. Rozebrała się przy mnie i weszła pod prysznic. Jej ciało przypominało zwiędłą śliwkę. Piersi, niegdyś jędrne, były obwisłe i płaskie. Szyja pomarszczona, nogi przeraźliwie chude. Kazałem jej się wytrzeć i ubrać, brzydziłem się jej dotknąć. Zrobiła co jej kazałem. Zaprowadziłem ją do sypialni i znowu zamknąłem drzwi. Następnego dnia kupiłem jej telewizor i zostawiłem w sypialni.

– Nie waż mi się opuszczać tego pokoju, kiedy będziesz pijana. Dasza nie może cię takiej zobaczyć – powiedziałem. Helena kiwnęła tylko głową i włączyła telewizor. Dasza nie pytała, gdzie mama, chyba rozumiała, że nie jest z nią za dobrze. Myślę, że nawet podobało mi się to rozwiązanie. Nie musiałem oglądać Heleny, jej ruiny, a Dasza była tylko dla mnie. Przyrządzała mi posiłki, grała tylko dla mnie. W szkole zaczęła odnosić sukcesy. Wpadłem pewnego dnia na pomysł, aby wykorzystać znajomości Heleny. Wyciągnąłem ją z sypialni i zawlokłem pod prysznic. Kazałem się ubrać elegancko, samo wybrałem jej strój. Wykonywała wszystkie moje polecenia, było jej obojętne, co z nią robię. Nawet na mnie nie patrzyła. Bolał mnie jej wygląd i zachowanie, czułem do niej odrazę. Pojechaliśmy do

filharmonii i spotkaliśmy się z jej dyrektorem. Po krótkiej rozmowie zgodził się, jak to powiedział: ze względu na dawną przyjaźń z Heleną, zatrudnić Daszę w orkiestrze. Kiedy wychodziliśmy spojrzaliśmy uważnie na Helenę i powiedział:

– Moja kochana, czy coś się stało? Wyglądasz, jak wrak człowieka – wyszeptał to podchodząc blisko do niej. Ja wszystko usłyszałem, ale poczekałem na jej odpowiedź. Przez chwilę wyglądało, że nie zareaguje. Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego nieprzytomnie. Cały czas trzymałem ją pod rękę ponieważ bałem się, że się przewróci. Jej dotyk był ohydny. Walczyłem z sobą, aby jej nie puścić i nie wytrzeć rąk. A więc spojrzenia Heleny i dyrektora spotkały się. Niemal odskoczył przerażony. Wyszliśmy szybko na zewnątrz. W taki sposób załatwiłem mojej zaledwie piętnastoletniej córce pracę. Któregoś dnia wróciłem do domu i usłyszałem straszną awanturę w kuchni. Ktoś krzyczał, coś upadło na ziemię.

– Co się dzieje? – zapytałem wchodząc tam. Zobaczyłem tylko, jak Helena policzkuje Daszę. Podbiegłem oburzony i wściekły i złapałem ją za uniesioną jeszcze dłoń.

– Dasza wyjdź – rozkazałem. Nie płakała, była przerażona. Kiwnęła głową i opuściła kuchnię. Kiedy drzwi się za nią zamknęły uderzyłem Helenę.

– Jak śmiałaś?! – krzyknąłem. Czułem od niej alkohol.

– Ona... ona mnie obraziła... – wychrypiała. Na jej policzku pojawił się czerwony ślad. Może by upadła, ale trzymałem ją za ramiona.

– Dość tego. Nigdy więcej jej nie skrzywdzisz – warknąłem. Zaciągnąłem ją na górę do sypialni i zamknąłem drzwi na klucz. Poszedłem do gabinetu, w którym sypiałem i usiadłem za biurkiem. Po chwili rozległo się ciche pukanie. To była Dasza. Nie miałem siły prosić jej, aby wyszła.

– Tatusiu – wyszeptała stojąc w progu.

– Tak?

– To moja wina.

– To nie twoja wina, kochanie. To wina matki. Za dużo pije. Alkohol zmącił jej umysł.

– Tatusiu... ja powiedziałam jej, że ty już jej nie kochasz, bo jest stara i brzydka – zamarłem. Czyżby moja kochana córeczka była w stanie powiedzieć coś takiego do własnej matki? Gdzie jest to niewinne, kochane dziecko? Czy kiedyś do mnie powie coś takiego? Co ja wtedy zrobię?

– Kochanie – tylko na tyle było mnie wtedy stać.

– Ale mnie kochasz, prawda? Nadal mnie kochasz? – zapytała tym swoim dźwięcznym głosem. Była moja. Krew z mojej krwi, ciało z mojego ciała.

– Oczywiście, że cię kocham i zawsze będę kochał.

– Zagram ci coś, chcesz? – kiwnąłem głową. Usiedliśmy w salonie, a ona tymi swoimi drobnymi dłońmi wyczyniała cuda ze smyczkiem i wiolonczelą. Ogarnął mnie błogi spokój. Była taka piękna. Rozkoszą było na nią patrzeć. Była moja. Czułem to. Wyobrażałem sobie, że to mnie dotyka, to mój kark pieści. Nie przymykała powiek tak, jak jej matka, ze wstydem, tylko patrzyła mi głęboko w oczy. Nigdy tego nie zapomnę. Kiedy skończyła, wstała i pocałowała mnie. Nie w policzek. W usta. To było, jak dotyk skrzydeł motyla. Jakby sam Bóg pod postacią kobiety stąpił na ziemię. Cudowne uczucie. Przypominałem wtedy sobie jej matkę i poczułem żal. Dasza usiadła mi na kolanach, jak małe dziecko i objęła mnie za szyję. Palcami wodziła po moim karku. Nie mogłem dłużej znieść jej dotyku, nie z odrazy, wręcz przeciwnie. Wstałem i zamknąłem się w gabinecie. Całą noc nie spałem. Rozmyślałem o Daszy i o Helenie. Nie analizowałem jednak swoich przeżyć i uczuć, ponieważ wnioski, do jakich dochodziłem doprowadzały mnie do szaleństwa. Zarówno Dasza, jak i Helena zaprowadziły

mnie na skraj obłądu. O drugiej nad ranem zaświtała mi w głowie pewna myśl i nie opuściła mnie aż do szóstej – przerwał i odwrócił się na drugi bok. Nie mógł patrzeć na zdjęcia.

– Jaka? – zapytał towarzysz z dolnej pryczy.

– Chyba wie pan jaka. Teraz niech mi pan opowie o sobie.

– Proszę dokończyć najpierw swoją historię.

– Pan ją dokończy, ale potem.

– Dobrze, ale mam kilka pytań. Czy kochał pan cały czas Helenę?

– Nie wiem. Nie wiem, czy była to miłość. Jeśli tak, to jest to zadziwiające. Może dlatego tak bardzo bolała mnie jej szpetota. Wciąż pamiętałem ją z dawnych lat – westchnął głęboko.

– Jeszcze jedno pytanie. Skoro nie chce pan wspomnień, to dlaczego trzyma pan ich zdjęcia?

– Sam nie wiem. Chyba lubię cierpieć. Kilka razy zerwałem je i podarłem, ale one zaraz po przebudzeniu były znowu na miejscu.

– Ciekawe.

– Ktoś nie chce, abym o nich zapomniał. To straszne. Wciąż cierpię, nie mogę znieść widoku tych zdjęć. Za każdym razem, kiedy na nie spojrzę moje serce krwawi, jakby ktoś wbijał mi w nie szpilki.

– Więc pana wizje o wolności. . . To chodzi o wolność od nich, tak? Od wspomnień?

– Tak.

Nagle rozlega się cichy zgrzyt. Otworzyły się drzwi i wpuściły do pomieszczenia światło. Obaj mężczyźni podnieśli się na swoich pryczach. Do pokoju wszedł niski chłopak, może osiemnastoletni. Rozejrzał się niepewnie i usiadł przy stole.

– Witamy – pierwszy odezwał się mężczyzna z dolnej pryczy. Chłopak spojrzał na niego przerażony. Kurczowo ścisnął coś w dłoniach.

– Dzień dobry młody człowieku – przywitał się mężczyzna z górnej pryczy. Chłopak nie odpowiedział. Rozglądał się przerażony po pomieszczeniu. Po chwili wlepił wzrok w przedmiot trzymany w dłoniach i pozostał w takiej pozycji.

– Nieśmiały – westchnął mężczyzna z górnej pryczy tracąc zainteresowanie chłopakiem. Położył się z powrotem.

– Ja też taki byłem. Nie tyle nieśmiały, co przerażony – wtrącił jego towarzysz także się kładąc.

– Pamiętam siebie, kiedy tu trafiłem – kontynuował po przerwie. – Nie wiedziałem dla czego, za co. Nie rozumiałem.

– A teraz pan rozumie?

– Sam nie wiem. Może. Wszystko jest takie dziwne, takie inne od tego, co znałem. Wiem za co tu jestem i rozumiem moją winę, ale dlaczego wciąż tu jestem? Tego nie rozumiem.

– Ja zostanę tu na zawsze – odparł mężczyzna z górnej pryczy. – Byłoby łatwiej, gdyby te zdjęcia znikły. . . Ja rozumiem, co zrobiłem, ale nie czuję z tego powodu wyrzutów sumienia. Chciałbym, ale nie czuję. To przerażające. Boję się samego siebie. Nigdy nie myślałem, że dojdzie do czegoś takiego. Dlaczego nie czuję się winny?

– Uważa pan, że dobrze zrobił?

– Tak, nie było innego wyjścia, innej możliwości. Tylko ta. Wiem, że to było złe, ale każde wyjście z tamtej sytuacji byłoby złe. Jestem postacią tragiczną. Czasami myślę, że to było z góry zaplanowane. Tak miało być. . . hmmm. . . tak było zapisane w gwiazdach. . .

– Nie wierzę. Wszyscy mamy wolną wolę i sami decydujemy o swoim życiu. Na pewno jest panu łatwiej myśleć, że to było z góry ustalone, bo wtedy pan zmazuje z siebie winę.

– Być może. Sam już nie wiem. Był tu kiedyś taki mężczyzna, który tak, jak ja nie widział swojej winy. Był krótko, zabrali go. Nie wiem gdzie. . .

– Opowiadał mi pan o nim. On różnił się od pana, ponieważ on nic nie czuł. Nie rozumiał dlaczego tu trafił, uważał, że zrobił dobrze. Pan natomiast wie, że zrobił źle i cierpi z tego powodu. . .

– Cierpię, ale nie miałem innego wyjścia. . . – zapadła cisza. Mężczyzna z górnej pryczy wychylił się lekko i uważnie obserwował nowoprzybyłego.

– Co on tam ściska? – zapytał.

– Chyba zdjęcie. Następny ze zdjęciem. Jakże ja bym chciał mieć jej zdjęcie. Już nie pamiętam jej twarzy. Mam tylko niejasne wyobrażenie, pamiętam kolor włosów. . . ale. . . . Jakie były w dotyku? Jak pachniały? – rozmarzył się mężczyzna z dolnej pryczy.

– Gdzie on będzie spał? – zapytał rzeczowo jego współlokator.

– Może przeniosą jednego z nas – zasugerował blondyn.

– Taa. Pewnie mnie. Jestem tu już bardzo długo – mruknął rudowłosy.

– Ja też.

– Ale nie tak długo, jak ja.

– Ciekawe, czy on jest „Nowy”, czy go przenieśli z innego miejsca?

– Młody człowieku – zawrócił się do nowoprzybyłego mężczyzna z górnej pryczy. – Jesteś „Nowy”? Zapadła cisza. Chłopak nie zareagował, jakby nie usłyszał. Mężczyzna z dolnej pryczy chciał już coś powiedzieć, kiedy nagle „Nowy” podniósł ciemną głowę i spojrzał na nich rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– N. . . n. . . nowy? – zapytał, a litery wypowiadał z ogromnym trudem. Tak, jakby miały daleką drogę do przebycia. Raczej je wypluwał niż mówił. Dudniły i bulgotały w jego gardle zanim wydostały się do pomieszczenia. Mężczyźni nie byli w stanie scharakteryzować jego głosu.

– No „Nowy”. Nie wiesz, co to znaczy? – zwrócił się do niego mężczyzna z dolnej pryczy po dość długim milczeniu. Był zaskoczony i dla tego tak długo się nie odzywał.

Chłopak nie odpowiedział, ale wciąż się w niego wpatrywał.

– Byłeś już gdzieś? – zagadnął mężczyzna z górnej pryczy. Leżał na boku, lekko wystając z legowiska. Jedną rękę miał podłożoną pod głowę, a druga zwisała z łóżka.

– By. . . byłem w. . . domu. . . – wybełkotał chłopak.

– Nowy – mruknął blondyn.

– Jest pan rozczarowany? – zapytał jego towarzysz.

– Hmm Tak. Miałem nadzieję, że przybył z innego miejsca i nam o nim opowie.

– Tak. Interesujące byłoby dowiedzieć się czegoś o otaczającym nas. . . o innych.

– Chciał pan powiedzieć świecie?

– Tak. To właśnie chciałem powiedzieć.

– Dom. . . – wybełkotał chłopak.

– Już nie zobaczysz domu – odparł blondyn.

– Trzeba go trochę zachęcić – wtrącił rudowłosy. – Jaki był twój dom, Nowy?

– Dom. . . Jasny. . . Czysty. . .

– Miałeś jakieś zwierzątko? – zagadnął mężczyzna z dolnej pryczy. – Ja, kiedy jeszcze mieszkałem z rodzicami, miałem psa. Wabił się Belweder – nikt nic nie powiedział więc mężczyzna kontynuował. – Był moim najlepszym przyjacielem. Ojciec przyniósł go z jednostki. Mieli psiarnie i szkolili psy od obrony. To było wielkie bydle, kiedy już wyrósł. Codziennie chodziłem z nim na spacer. Początkowo dostawałem, jak zsiakał się w domu, ale nie przejmowałem się tym. Kochałem go.

– Ja nie miałem żadnego zwierzaka – wtrącił rudowłosy.

– Kiedy miałem piętnaście lat Belweder wpadł we wnyki zastawione przez kłosowników. To była zima. Nie wrócił do domu, więc z bratem poszliśmy go szukać. Siostra była zazdrosna, że to mój pies, a nie jej i nam nie pomogła. Wołaliśmy i wołaliśmy chodząc po lesie. Zrobiło się ciemno. Miałem na sobie tylko kurtkę, zapomniałem szala, rękawic i czapki. Bardzo zmarzłem. Robert też miał całe czerwone poliki i dłonie od mrozu. Nie znaleźliśmy go, a matka kazała nam wracać. Rano pies sam dowlóknął się do domu. odgryzł sobie lewą tylną łapę, żeby się uwolnić. Wyszedłem na ganek i zobaczyłem go. Leżał przy schodach, a śnieg wokół niego był cały we krwi. Podbiegłem do niego i wyszeptałem jego imię. Podniósł na mnie wzrok i zaskomlał cicho. Wyszedł ojciec. Pokiwał głową i kazał mi pójść po wodę i jedzenie dla Belwедера. Posłuchałem. Kiedy byłem w kuchni i napełniałem jego miskę, jedna była czarna, do karmy, a druga biała, do wody, usłyszałem strzał. To ojciec zastrzelił psa z dubeltówki. Stałem, jak sparaliżowany. Matka robiła śniadanie. Nóż wypadł jej z ręki na podłogę. Wtedy coś przeskoczyło. Nie wiem, jak to opisać. Wszystkie uczucia nagle mnie opuściły. Byłem tylko ja i pustka. W oddali słyszałem echo strzału. Podniosłem upuszczony przez matkę nóż i zobaczyłem, że ona płacze.

– Już dobrze – powiedziałem przytulając ją. – Musisz zadzwonić do sąsiadów. Oni z chęcią wezmą karmę dla swojego psa.

Matka spojrzała na mnie i kiwnęła głową. Przywykła do tego, że inni jej rozkazują. Potem pomogłem ojcu zakopać psa.

– Pies... – zagulgotał „Nowy”.

– Tak. Pies, chłopcze, pies – odparł blondyn. – Wierny pies. Słyszał, że go wołałem, a on zawsze wykonywał moje polecenia. Nie mógł się wydostać, a ja go wołałem. Więc odgryzły sobie nogę i...

– Pies... Dom... matka...

– Coraz lepiej – odezwał się rudowłosy. – Jaka była twoja matka, chłopcze?

– Wysoka... szczupła...

– Mojej już nie pamiętam – kontynuował rudowłosy. Położył się na plecach i wpatrywał w sufit. – Miała chyba rude włosy, tak jak moje. Ale jej głos... taki dźwięczny, łagodny, pełen miłości. To nic, że nie miała dla mnie czasu. Prowadziła razem z ojcem firmę. Te kilka chwil, które mi poświęcała... były cudowne – zapadła cisza. Rudowłosy usilnie starał się sobie przypomnieć matkę, a mężczyzna z dolnej pryczy rozmyślał o psie.

– Jak ci się tu podoba chłopcze? – zapytał blondyn spoglądając na „Nowego” kontem oka.

– Zimno... – wybełkotał ten w odpowiedzi – Tak strasznie zimno...

– Wydaje ci się, tu nie jest ani zimno, ani ciepło.

– Czy to możliwe, że on... wciąż...? – zająknął się mężczyzna z górnej pryczy.

– Zobacz – niemal wykrzyknął blondyn. Przerażony wpatrywał się w „Nowego”. Rudowłosy zaalarmowany paniką w głosie towarzysza spojrzał na chłopaka, który cały się trząsał. Z jego ubrania: czarnego swetra i brązowych sztruksów na podłogę skapywała woda. Długie, ciemne włosy oblepiały bladą twarz. Jedno pasemko przykleiło się do drżących warg. Głowę miał pochyloną i wpatrywał się w trzymany przedmiot. Dłonie mu się trzęsły.

– To... Nie rozumiem – wydusił wreszcie z siebie mężczyzna z dolnej pryczy.

– To on nic nie rozumie – odparł jego towarzysz. – Widzisz... Wciąż przeżywa tamtą chwilę... On nawet nie wie, gdzie jest.

– Tak, to zadziwiające.

– Chłopcze uspokój się, wszystko będzie dobrze, nikt cię tutaj nie skrzywdzi.

– Ziiiiimnooo. . . zimno. . . – szczeakał zębami.

– Chyba wiem, co mu się stało – mruknął blondyn.

– Tak. Do tej pory nie wiedziałem czegoś takiego, a długo już tu jestem.

– Czy. . . czy wszystko wiedziałeś, kiedy tu trafiłeś?

– Do tej pory nie wiem wszystkiego, ale wiedziałem co się ze mną stało. Rozumiałem, że to kara. Mój towarzysz niedoli z tamtego czasu to potwierdził – odparł mężczyzna z górnej pryczy.

– Hmm. . . Ja też nie za bardzo wiedziałem, ale z kolei pan wszystko mi wyjaśnił. Może mu też trzeba wszystko. . .

– Nie. Ty rozumiałeś, że coś się stało, nie wiedziałeś tylko, gdzie się znalazłeś.

– Ale on nie wie. Nic nie rozumie. . . Może jednak powinniśmy mu powiedzieć?

– I co to da? Pewnie się zezłości, nie uwierzy. . . przecież nic do niego nie dociera. . .

– Jak można karać kogoś, kto nie rozumie, że to kara. Przecież to się mija z celem.

– System nie jest doskonały – westchnął rudowłosy.

– Taak. Pamiętasz jeszcze tego swojego pierwszego towarzysza?

– Pamiętam. Niski brodac. Łysy. Tyko ta gęsta, kędzierzawa broda. Spał na dolnej pryczy, tam, gdzie teraz ty. Miał łąk wysokości. Powiedział mi wszystko, do czego sam doszedł. Dość długo był tutaj. Wyznał, że kiedy przybył niewiele wiedział, a jego współlokator nie chciał mu niczego powiedzieć. Wszystkiego dowiedział się ze szczęków rozmów z nim. Ale on też nie był rozmowny. Nazywał się chyba Henryk, albo Harold. . . Ale tutaj nie są istotne imiona. Wszystko traci swą wartość. . . jesteśmy tylko ludźmi z dolnej, czy też z górnej pryczy. Nawet już nie ludźmi. . . jesteśmy po drugiej stronie drzwi. . . Zamknięci, odcięci. . . pozostawieni swoim koszmarom i wspomnieniom.

– I wizjom – dodał blondyn.

– Tak, wizjom.

– Czy wszyscy twoi towarzysze wiedzieli co się z nimi stało?

– Tak. Niektórzy byli zaskoczeni i zszokowani. Przez kilka dni próbowali uciec, wydostać się. inni znowu popadali w apatię, zrezygnowanie. Siedzieli przy stole, albo na podłodze i mamrotali coś o swoich żonach, matkach, córkach. Wszyscy w końcu jednak zaczęli słuchać i opowiadali o sobie. Myślę, że to pomaga. Och, żebyś ty wiedział ile różnych poznałem historii. Mógłbym książkę napisać. Życie pisze czasem tak zaskakujące scenariusze. . .

– Ciekawe jaka jest historia tego chłopca?

– Kiedyś przestanie pana to interesować. Zobojętnieje pan. Wszystko będzie się powtarzać, imiona znaczną się mieszać, akcja skłębzi, jak motek włóczki. . . Będzie panu wszystko jedno. Będzie pan słuchał tych opowieści, bo to jest lepsze niż rozmyślanie o sobie, ale nie wiele będą pana obchodziły. Życie. . . nie chcę słuchać o życiu tego chłopca. Na pewno było przygnębiające. . .

– Czy ten mężczyzna, który był pierwszym pana towarzyszem. . . czy pamięta pan jego historię?

– Tak. Pamiętam.

– A więc niech pan opowie.

– To już nie jest ważne. Odszedł, tak, jak oni wszyscy.

– Niech pan opowie, proszę.

– Hmm. . . Od czego by tu zacząć? Był księgowym. Pewnego dnia przyszło do niego trzech mężczyzn i zaproponowali mu bardzo dobrze płatną pracę. Powiedział, że jest zainteresowany. Zawieźli go więc do swojego szefa. . . Miał pracować dla mafii. Borykał się z problemami finansowymi, niedawno urodziło mu się trzecie dziecko, żona nie pracowała, nie spłacił rat za mieszkanie i samochód. . . Zgodził się. Praca nie była lekka, ale dostawał za to dość dużo pieniędzy. Po roku spłacił mieszkanie

i samochód, ale było mu mało. Człowiek, który przez całe życie nie miał nic i nagle łapie Pana Boga za nogi, nigdy nie ma dość. Szybko sprzedał mieszkanie w starej kamienicy i kupił sobie dom jednorodzinny z ogrodem na przedmieściach. Zmienił też samochód i kupił jeszcze jeden dla żony. Dzieci posłał do najlepszych szkół, kupował im wszystko, co tylko chciały. Niedługo później urodziło mu się czwarte dziecko, córeczka, Hanna. Bardzo ja pokochał. Przyznał się, że dotąd akceptował swoje dzieci, ale nic więcej. Niby je kochał, ale sam nie był pewien. Tej małej jednak nie dostępował na krok. Był nią zauroczony, zafascynowany. . . zakochał się w niej. Domyślasz się chyba, że na te wszystkie rzeczy, które kupował nie zapracował uczciwie. Okradał swego szefa. Początkowo z niewielkich sum, to sto dolarów, to dwieście, ale potem sumy były horrendalne. Pławił się w luksusie. Myślał, że wszystko ujdzie mu na sucho. Myślał, o ile w ogóle myślał, że szef się nie zorientuje. To był jednak błąd. Szef, jak się okazało, wiedział o wszystkim, ale póki sumy były małe uznawał to za naturalną kolej rzeczy. Kiedy jednak zaczęły przekraczać dwa tysiące, trzy tysiące, rozżłościł się. Postraszył trochę księgowego i zażądał zwrotu pieniędzy. Ten jednak nie miał z czego oddać. Zorientował się, że szef go zabije. Wiedział, że nie popuści też jego rodzinie. Powiedział do mnie tak:

– Nie mogłem ich zostawić, nie poradziłoby sobie beze mnie. To ja ich utrzymywałem. Gdyby szef ich dopadł czekałoby ich straszliwa śmierć. Kupiłem więc rewolwer i wróciłem do domu. Żona stała w kuchni i przygotowywała obiad. Strzeliłem szybko w tył głowy, żeby nie zdążyła na mnie spojrzeć. Ją zabiłem pierwszą, aby nie patrzyła na śmierć dzieci. Poszedłem do pokoju synów, Krama i Garama. Bawili się. Zabiłem najpierw Krama. Garam spojrzał na mnie przerażony, nawet nie krzyknął. Szybko umarł. Potem udałem się do Lilaj. Odrabiała lekcje. Siedziała tyłem do mnie. Było więc łatwo. Została jeszcze Hanna. Miała wtedy zaledwie trzy latka. Spała w swoim łóżeczku. Wszedłem tam cichutko, aby jej nie obudzić. Przystawiłem gorącą jeszcze lufę do jej maleńkiej, ciemnej główki. Ogarnął mnie spokój. Widziałem, że tak trzeba. Nie było innego wyjścia. Ratowałem ich przed męczarniami z rąk mego szefa. Przypomniałem sobie pierwsze kroki Hanny, jej śmiech. Teraz już tego nie pamiętam. Nie pamiętam mojej małej córeczki. Wtedy czułem ekstazę, rozkosz. Nagle otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Tatusiu będziemy się bawić? – zapytała. Strzeliłem. Potem odrzuciłem broń i wziąłem ją w ramiona. Umarła do razu, ale ja myślałem, że umiera dopiero w moich ramionach. Całowałem jej maleńkie rączki. Chciałem poliki, ale tych już nie było. W miejscu głowy powstała ogromna dziura. Nic nie rozumiałem, czułem tylko spokój. A potem. . .

i nie musiał mówić nic więcej, ja już wszystko rozumiałem. To była właśnie jego opowieść.

– Makabryczna – mruknął mężczyzna z dolnej pryczy.

– Posłucha pan jeszcze kilku opowieści to wtedy będzie miał pan porównanie. Na razie zna pan tylko dwie.

– Tak. I to pańską bez końca.

– Koniec. . . Koniec zawsze jest ten sam. Trafiamy tutaj. Wszyscy za to samo.

– Tak, rzeczywiście. Ale co się z nami dzieje potem. . . ?

– Nie wiem. Może nic i dla mnie to by było dobrze, a jeśli jest tam coś. . . No cóż. . . będę cierpiał. . . Nie ma dla mnie ratunku, spokoju, wolności.

– Zimno. . . – wybełkotał chłopak.

– Co on tam ma? – prychnął rudowłosy wychylając się ze swojej pryczy.

– Pokaż mały, co tam trzymasz? – zagadnął łagodnie mężczyzna z dolnej pryczy. Chłopak zatrzęsł się gwałtownie, ale wyciągnął drżące dłonie.

– Co tam jest, co tam jest? – gorączkował się rudowłosy.

– Spinka do włosów – mruknął blondyn. Zdawał się być rozczarowany.

– Spinka... Pewnie należała do jego dziewczyny. Ciekawe, czy się bardzo kochali?

– On był bogatym dzieciakiem, rozpieszczanym i chwalonym. Uczęszczał do najlepszych szkół, należał do kilku kótek i klubów. Nie dbał o nikogo, bawił się i tylko to go ciekawiło. Ona była biedniejsza. Musiała ciężko pracować na swoją pozycję. Zobaczył ją i natychmiast, no cóż, nie znam lepszego słowa, zakochał się. On, którego dotąd nic nie interesowało, nikt nie obchodził. Ona jednak nie zwracała na niego uwagi. Gardziła nim, jego powierzchownością. Myślała racjonalnie, nie wierzyła, że miłość jest w stanie zmienić człowieka. Nie wiadomo, czy by go zmieniła. Starał się, posyłał jej kwiaty i czekoladki, liściki pełne miłosnych wyznań. Kochał ją do szaleństwa. Była tak różna od tych, głupkowatych, mizdrzących się panienek. Ona jednak pozostała chłodna i nieczuła. Aż w końcu powiedziała mu ostro, aby zostawił ją w spokoju. Tego nie był w stanie znieść. Był jeszcze młody, ale rozumiał, że bez niej nie będzie w stanie żyć. I w swoim zaślepieniu uznał, że ona bez niego także.

– Tak. To mogłaby być jego historia. Ckliwa, ale czy one wszystkie nie są takie...?

Rudowłosy podłożył sobie ręce pod głowę. Zerknął kontem oka na zdjęcia i głośno westchnął.

– Czy wszyscy pana towarzysze byli „Nowymi”? – zapytał blondyn.

– Tak. Hmm... ten pierwszy, którego spotkałem, jak tylko tu przybyłem wyznał mi, że znał jednego „Przeniesionego”, ale niewiele mu opowiadał. Myślę, że oni czasami nas przenoszą, może wtedy, jeśli widzą, że nic się nie zmieniamy, że wciąż nie rozumiemy.

– Być może – zgodził się mężczyzna z dolnej pryczy. Zapadła cisza. Rudowłosy przerzucił się na prawy bok i dotknął zdjęcia swojej żony.

– Niech mi pan opowie o sobie – zaproponował.

– Przecież powiedział pan, że nie interesuje to pana.

– No cóż, może naszego kolegę zainteresuje.

Mężczyzna z dolnej pryczy rzucił krótkie spojrzenie na „Nowego” poczym położył się z powrotem na plecach.

– A więc mój ojciec był wojskowym, a matka nauczycielką historii w wiejskiej szkole. Mam starszą siostrę, Ewelinę i młodszego brata, Roberta. Jak więc pan widzi, jestem średnim dzieckiem. I taki zawsze byłem. To uczucie nie opuszczało mnie całe moje dziecięce i młodzieńcze życie. Nawet po wyprowadzce z domu rodzinnego tak się jeszcze uczułem przez kilka lat. Średnie dziecko. Najstarsze kochane, bo pierworodne, najmłodsze rozpieszczane, a średnie...? Szkoda gadać. Ojciec w domu wprowadził dryg wojskowy. Wszystko musiało być tak, jak chciał. Matka panicznie się go bała, ale pomimo to wciąż go kochała. Żadnemu z nas nie pozwoliła powiedzieć na niego złego słowa, zawsze go broniła z taką samą zaciętością, jak nas, przed nim. Miał ciężką rękę i używał jej często. Traktował nas, jak swoich żołnierzy. Nie wolno było nam się pierwszym odezwać ani zacząć jeść przy obiedzie, pobudka była o szóstej. Każdemu rano wyznaczał jakieś zadanie i trzeba było się z niego wywiązać. Od dziecka marzyłem, aby zostać prawnikiem. Ojciec jednak chciał, abym tak, jak on został wojskowym. Z domu wyrwałem się w wieku osiemnastu lat. Ojciec chciał, żebym został wojskowym. Właściwie to uciekłem w nocy. Pojechałem do miasta i wynajmąłem mieszkanie. Miałem trochę pieniędzy, które odkładałem od czternastego roku życia. Znalazłem jakąś dorywczą pracę i zacząłem studiować prawo. Początkowo było bardzo ciężko, ale jakoś udało mi się skończyć studia i dostać do kancelarii adwokackiej. Dopiero później dowiedziałem się, że to tata po kryjomu załatwił mi tę posadę ponieważ wstawił się u właściciela kancelarii, który był jego przyjacielem. Nie ukrywam, że byłem wściekły. Chciałem zrezygnować z posady, ale bardzo potrzebowałem pieniędzy. Do matki czasem pisywałem listy i podejrzewam, że to właśnie z nich ojciec dowiedział się o moich planach i marzeniach związanych z tą

posadą. Muszę przyznać, że pomyślałem wtedy, że okazał się jednak dobrym człowiekiem. Miał silną rękę i szorstki charakter, ale kochałem go. Pojechałem więc na święta do domu, aby podziękować mu. To spotkanie srodze mnie rozczarowało. Nie będę panu tego opowiadał, ponieważ wciąż to tkwi we mnie mocno. W każdym bądź razie bardzo się pokłóciliśmy, docinał mi bez przerwy i szydził. Wyjechałem następnego dnia i nigdy więcej nie pojawiłem się w domu. Przystałem także pisać listy do matki. Wiedziałem bowiem, że wszystkie pokazuje ojcu. Matka za to pisywała do mnie. Informowała mnie, o wydarzeniach w domu. Muszę przyznać, że wcale mnie to nie interesowało. Chciałem zerwać wszelkie więzi, bo wspomnienia wciąż mnie bolały. Po roku przestałem czytać te listy. Ewelina, moja siostra, także wyprowadziła się do miasta, ale nie utrzymywaliśmy kontaktów. Zmieniłem pracę, mieszkanie i nikogo z rodziny o tym nie poinformowałem. W ten sposób ominęła mnie wiadomość o tym, że brat został wojskowym i że matka zmarła. Dowiedziałem się dopiero za sprawą Marill, która poprosiła mnie, abym odszukał rodzinę. Właśnie, Marill. Nie jestem typem podrywacza, ale kobiety interesowały się mną. Miałem wiele dziewczyn, ale Marill przewyższała je wszystkie. Wychowała się w domu dziecka, matka ją porzuciła. Skończyła szkołę i studia bibliotekoznawstwa. Zaczęła pracę w miejskiej bibliotece chociaż zawsze chciała być kwiaciarką. Musiała wyprowadzić się z domu dziecka więc zamieszkała u chłopaka, którego poznała przez Internet. Był w niej śmiertelnie zakochany, tak zresztą, jak ja. Z drugiej strony, co to za powiedzenie: śmiertelnie zakochany? Ja kocham Marill nie śmiertelnie, ale bosko – nieśmiertelnie. Poznałem ją którejś nocy na moście. Nie mogłem spać więc wybrałem się na spacer. Zobaczyłem ją wtedy przechyloną przez barierkę. Była piękna. Blond włosy rozwiewał jej wiatr. Przy świetle księżycy i latarni jej skóra zdawała się błyszczeć. Myślałem, że chce skoczyć. Podszedłem i powiedziałem, że chyba anioł zstąpił na ziemię.

– Jeśli anioł, to upadły – odparła.

– Dlatego chcesz skoczyć? Ziemia nie jest godna ciebie nosić?

– Nie chcę skoczyć. Czekalam tu na ciebie – stwierdziła podchodząc do mnie. Objąłem ją i chciałem, żeby to trwało wiecznie. Żeby czas się zatrzymał, płynął obok nas. Aby wiecznie była młoda i piękna i wiecznie mnie kochała, ponieważ wiedziałem już, że mnie kocha. I ja ją kochałem też.

– Będę kochał cię wiecznie – powiedziałem jej kiedyś, jak już zamieszkała u mnie.

– To klątwa – odparła. – Związałeś nas klątwą.

– Choćby tak, to co z tego?

– To, że kiedyś będziesz cierpieć przeze mnie.

– Skąd wiesz?

– Czuję to.

– Jeśli ty będziesz cierpieć przeze mnie, to się zabiję. Nie chcę abyś cierpiała.

– Ja nie mogę cierpieć. Bo jestem aniołem. Anioły nie mają uczuć, więc nie mogą cierpieć.

– Jesteś upadłym aniołem, a on upadł z powodu miłości, która go nagle otoczyła. Z powodu miłości do człowieka.

Zaśmiała się dźwięcznie, a ja ucałowałem te jej urocze usteczka połykając jej śmiech. Wypełnił mnie od wewnątrz, rozsadał serce i czaszkę. Tak zawsze się czułem, kiedy mnie całowała, albo patrzyła mi w oczy. Zawsze tak, jakbym zaraz miał umrzeć ze szczęścia. Ach, ale nie opowiedziałem panu wszystkiego o niej. Skończyłem na ty, że zamieszkała u tego chłopaka. Nie kochała go, ale czuła się winna, że go wykorzystuje więc z nim spała. No i zaszła w ciążę. Kiedy on się o tym dowiedział natychmiast się jej oświadczył. Powiedziała, że musi się zastanowić i kiedy poszedł spać, uciekła od niego. Właśnie wtedy zobaczyłem ją na moście. Dziecko to była jedyna rzecz, której pragnęła. Przyznała mi się, że dotąd żyła z dnia na dzień, nie zastanawiając się nad przyszłością, czy

przeszłością. Parła po prostu do przodu. Niczego od życia nie chciała i nie wymagała. Było jej dobrze, tak, jak było. Ale to dziecko wszystko zmieniło. Wreszcie miała szansę mieć coś, co by należało do początku do końca do niej. To jej słowa. Nie kochała tego mężczyzny więc nie chciała go dalej ranić. Dlatego go zostawiła.

– Nie chciałem skoczyć – powiedziała mi któregoś dnia. – Przez całe życie przechodziłam tym mostem, ale nigdy nie interesowało mnie, co jest w dole, aż do tamtego wieczoru. Pomyślałam, że kiedyś może z moim dzieckiem będę przechodzić tym mostem i ono zapyta mnie, co jest w dole, a ja nie będę wiedziała. Postanowiła więc sprawdzić. A tam była woda. Piękna woda. Zrozumiałam, że otacza mnie świat. Dotąd czułam się, jakbym żyła w pustce. Tamtego wieczoru po raz pierwszy dostrzegłam coś poza mną. Przez chwile miałam wrażenie, że jestem tylko ja i ten piękny świat i wtedy zobaczyłam ciebie. Pokochałam cię od razu. Byłeś taki piękny i rzeczywisty. Prawdziwy. Byłeś pierwszym człowiekiem, którego spotkałam. I okazało się, że ja też jestem prawdziwa. Zobaczyłam siebie twoimi oczami i zrozumiałam, że ja też jestem piękna. I piękne jest to dziecko, które jest we mnie. Zapragnęłam żyć.

Zamieszkała ze mną. To były najpiękniejsze dni w moim życiu. Aż do rozwiązania. Dziecko urodziło się martwe. Bardzo to przeżyła, ja też. To była dziewczynka. Trzeba było nadać jej i imię i pochować, ale Marill powiedziała:

– To dziecko nigdy nie należało do mnie. Mogło należeć, ale nie należało. Nie mam prawa nadawać mu imienia – kiwnąłem głową i pochowaliśmy ją, jako Dziecko.

Wszystko w naszym życiu się zmieniło. Marill popadła w jakąś apatię, wręcz katatonię. Połykała tony tabletek uspokajających i nasennych. Całe dni spędzała siedząc i patrząc w okno. Nic do niej nie docierało, z nikim nie rozmawiała.

– Nie mam nic – powiedziała kiedyś.

– Masz mnie – odpartem, ale ona nie odwiedziła. Mijały miesiące i nic się nie zmieniło. Posyłałem ja do najlepszych lekarzy, ale oni rozkładali tylko ręce, nie rozmawiała z nimi więc nie wiedzieli, jak jej pomóc. Wściekałem się na nią, że nic nie robi, aby poczuć się lepiej. Mówiłem przykre słowa, aby zmusić ją do jakiegokolwiek reakcji, ale ona patrzyła na mnie tylko pustym wzrokiem, nawet nie płakała.

– Nie mogę żyć bez ciebie, a ty umierasz na moich oczach – powiedziałem jej. – Proszę żyj dla mnie, potrzebuję ciebie – spojrzał na mnie, a ja dostrzegłem w tym spojrzeniu ją z dawnych lat, ale była jakby zamknięta, gdzieś daleko, nie mogła wyjść, wydostać się na zewnątrz. To trwało tylko chwilę i naraz wszystko znikło. Nie wiedziałem, czy mi się to przywidziało, czy też nie. Potrząsnąłem nią, ale ona odwróciła wzrok i powróciła do wpatrywania się w ścianę.

Cała ta rozpacz wpędziła mnie do kieliszka i w ramiona innej kobiety. Tak, dobrze pan słyszał, wdałem się w romans. Kobieta ta już od dawna kusiła mnie swoimi wdziękami, nie musiałem się więc wielce wysilać, aby wylądować z nią w łóżku. Spotykaliśmy się kilka miesięcy. Nie chciała małżeństwa, ani nic z tych rzeczy, ale kiedy w końcu z nią zerwałem doniosła o wszystkim Marill. Odwiedziła ją podczas mojej nieobecności. Zadzwoiła później do mnie i powiedziała:

– Ona wie o wszystkim. To wariatka, nie rozumiem, jak mogłeś porzucić mnie dla niej.

Odłożyłem słuchawkę i pogałem do domu. Nie zastałem tam jednak Marill. Do dziś nie wiem dlaczego nie szukałem jej. Zamknąłem się w pokoju i opróżniłem cały barek. Chyba już wtedy przeczuwałem, co się stało. Ale żałuje, że jej nie szukałem. Coś kazało mi zostać w domu. Może czułem się winny i chciałem to uczucie utopić w kieliszku? W każdym bądź razie następnego dnia przyjechała policja i poinformowali mnie, że znaleziono Marill martwą. To było, jak cios. Jakby mnie spoliczkowali.

Zachwiałem się i musieli mnie podtrzymać. A przecież w głębi serca spodziewałem się tego. To było tak, jakbym sam ją zamordował. Nie mogłem żyć bez niej.

- Tak, rozumiem pana. Ja też nie mogłem żyć bez Heleny i Daszy.
- Dokończę pańską historię – zaczął przeczesując swoje blond włosy.
- Dobrze, słucham.

– Zabrał pan rano pistolet z szuflady i wyszedł z pokoju. Może o szóstej, albo o siódmej. Tam myśl, która zaświtała w pańskiej głowie nie opuszczała pana. Patrzył pan na siebie z boku, miał pan wrażenie, że ktoś inny kieruje pana ruchami.

- Skąd pan wie?

– Ja czułem się tak samo i ten chłopak pewnie też. W każdym bądź razie wspiął się pan na schody. W domu panował półmrok, tak jak teraz tutaj. Dasza spała. Wśliznął się pan do jej pokoju, przykrył ją i... och, czy to możliwe? Pocałował ją pan. Pocałował ją pan w usta, nie obudziła się. Wyprostował się pan, rozejrzał, aby sprawdzić, czy aby na pewno nikt tego nie widział. Przecież był pan tam sam. Do jej pokoju wpadały pierwsze promienie słońca. Żaluzje trochę odstawały od okna i właśnie przez tę szparę wnikały do jej sypialni. Jeden promyk muskał jej włosy, które mieniły się w jego świetle, niemal drgały, tańczyły. Wiolonczela stała oparta o szafę w najciemniejszym koncie pokoju. Pomyślał pan wtedy, że jest to instrument Szatana. Że został stworzony przez niego z ciał niewinnych dzieci, aby sprowadzić pana na złą drogę. Znienawidził pan wiolonczelę, która dotąd dostarczała panu za sprawą Daszy, czy też Heleny samych rozkoszy. Chciał pan zniszczyć ten instrument, roztrzaskać, wyrwać struny, uwolnić dusze dzieci zamknięte w tym pudle. Uwierzył pan, że to właśnie duchy tych niewinnych istotek śpiewały tak pięknie, gdy struny wiolonczeli muskała pańska żona, czy też córka. Już pan szedł w stronę tego narzędzia Szatana, ale nagle zatrzymał się pan. Odwrócił i spojrzał jeszcze raz na córkę. Bez wiolonczeli nie kochałby jej pan. Bez wiolonczeli nie kochałby pan jej matki. Wreszcie bez wiolonczeli nie byłby pan szczęśliwy. Wycelował więc pan i strzelił prosto w rudą główkę Daszy. Nawet nie krzyknęła.

- Pocałowałem ją... tak słodko pachniała... Jej usta były tak delikatne, dziewczęce...

– Wyszedł pan cicho z pokoju, jakby się pan bał, że ją obudzi i poszedł do sypialni Heleny. Otworzył pan drzwi i zastał ją przed telewizorem. „Kochanie...?” – wyszeptała i wyciągnęła do pana pomarszczone ręce. Wycelował pan i strzelił dwa razy, raz w głowę, aby zapomnieć, a raz w serce, aby uwolnić się od miłości.

- Tak... Tak... Wszystko się zgadza.

- Wiedziałem. Spodziewałem się tego. Miłość doprowadza do ostateczności.

- Pan nie wie, jak to jest. Pan nie zabił swojej Marill.

– Myli się pan. Zabiłem. Nic nie zrobiłem, aby ją ratować. Po wieki będę cierpiał z powodu miłości do niej. Powieki będą mnie męczyć sny, w których nie jestem w stanie jej powstrzymać przed śmiercią. Moje przyrzeczenie faktycznie było kłutwą. Nigdy nie uwolnię się od niej.

- Tak pan to postrzega? Nie chce pan już jej kochać?

– Miłość wypaliła mnie od środka. Pragnę ją pamiętać. Chciałbym, aby żyła nawet jeśli nie mogła by być już ze mną. Kochanie jej martwej jest ponad moje siły. Dlaczego nie możemy być razem? Dlaczego nas rozdzielono?

- Nie znane są ich wyroki.

- Ale przecież ona zrobiła to samo, co ja. Powinna być ze mną.

- To kara, nie nagroda. Spotkanie jej byłoby nagrodą dla pana.

– Wydaje mi się, że tutaj nie ma nagród, czy kar. Jesteśmy tu i będziemy wiecznie. Nie rozumiem tego, ale tak już jest.

– Sam nie wiem. Ale niech pan spojrzy na tego chłopaka. Przecież on nic nie rozumie. Bezcelowe jest go karać.

– Może oni chce, aby któryś z nas wszystko mu wyjaśnić?

– Zrobi to pan?

– Nie wiem. nie lubię wspominać TAMTEGO, a wyjaśnianie zmusi mnie do tego...

– Co pan myślał robiąc TO? – zapytał mężczyzna z górnej pryczy po chwili ciszy.

– Żeby być z nią razem. Miałem naiwną wiarę, że złączymy się i nic nas nie rozłączy. Że.. sam nie wiem... Staniemy się wiatrem hulającym po polach, szepczącym w konarach drzew. Wiatrem słuchającym ludzi i starającym się wyjawić im tajemnice zasłyszane od innych ludzi. Wiatrem mierzwiącym włosy pięknym kobietą i przystojnym mężczyzną. Wiatrem burzącym morza i oceany. Wiatrem pod skrzydłami ptaków. Wreszcie wiatrem wolnym, niczym nie ograniczonym, wiatrem psotnikiem zrywającym kapelusze z szanowanych głów i podciągającym spódnicę.

– Taak – wychrypiął jego towarzysz. „Nowy” na chwilę podniósł głowę i spojrzał na marzyciela. Trwało to tylko sekundę, może dwie. Natychmiast z powrotem zaczął wpatrywać się w trzymany przez siebie przedmiot.

– Ja... – zaczął mężczyzna z górnej pryczy –... nie myślałem o niczym. Nie chciałem spotkać się z żoną, czy córką. Chciałem, aby tam nic nie było. Chciałem zapomnieć. Miałem nadzieję, że zapomnę. Teraz wiem, że oni nie dadzą mi zapomnieć. Nigdy.

– Trzeba w coś wierzyć. Ja wierzę, że będę z nią razem... kiedyś, daleko stąd... wierzę, że zostanie mi wybaczone...

– Ja już w nic nie wierzę.

– A w Boga pan wierzy? – mężczyzna z górnej pryczy westchnął głęboko.

– W Boga... – powtórzył, jakby smakując te słowo.

– Nie – odparł w końcu.

– Jak to być może? W takim miejscu nie wierzyć?

– A jednak. Bóg to jest natura. W naturę wierzę.

– Co pan przez to rozumie?

– Drzewa, kwiaty, zwierzęta... Człowiek też jest zwierzęciem, tylko bardziej inteligentnym od innych, chociaż czasem w to wątpię.

– Czyli według pana nie ma żadnej nadprzyrodzonej siły, która by kierowała tym wszystkim?

– Nie.

– A świat według pana powstał z przypadku?

– Tak.

– Ja wierzę w Boga.

– I co pan myśli o tych okropnościach, które dzieją się na świecie? Morderstwa, choroby?

– Człowiek ma wolną wolę, sam wybiera, jak żyje.

– Choroba to nie wybór.

– Choroby to przypadki... jesteśmy słabymi istotami... Choroby są potrzebne, abyśmy doceniali wartość życia, ale Bóg ich nie zsyła... one same się zdarzają, tak, jak powiedzie, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów.

– Czyli według pana za życia nikogo z ręki Boga nie spotka kara? Dopiero po śmierci?

– Tak. Bóg nie ingeruje w ziemskie życie. Kiedyś wierzyłem, że po śmierci nic nie ma...

- Jak to? Wierzył pan w Boga, ale nie w życie poza grobowe? Nie w Raj, czy Piekło?
- Uważałem, że po śmierci nasze dusze zapadają w letarg i czekają na Dzień Sądu Ostatecznego. Dopiero wtedy zostają nam wymierzone kary i nagrody za życie na ziemi.
- Taak. Ale teraz wszystko się zmieniło. . . – zapadła cisza.
- Kiedyś nie wierzyłem w miłość – powiedział mężczyzna z górnej pryczy.
- Hmm?
- Tak – kontynuował. – Uważałem, że coś takiego nie istnieje. Jest tylko zauroczenie, zafascynowanie nic więcej. Miłość matki do dziecka, to nic innego, jak przywiązanie. Miłość męża do żony, to przyzwyczajenie, przyjaźń. „Miłość od pierwszego wejrzenia” to tylko ułuda, gwałtowne pożądanie. Spotykałem się z kobietami, ale nigdy się nie zakochałem. Pożądałem ich, pragnąłem ciała, a czasem tylko rozmowy. Z wieloma się przyjaźniłem, ale miłość? Nigdy nie pomyślałem, że mógłbym z którąś wziąć ślub i przeżyć pięćdziesiąt lat w stałym związku. Patrząc, jak się starzeje, słuchać ciągle tych samych uwag. Po dziesięciu latach nie mielibyśmy o czym rozmawiać. Wpadlibyśmy w pułapkę nudy, zubożenia.
- A jednak wziął pan ślub.
- I jak to się skończyło?
- Chce pan powiedzieć, że nadal nie wierzy w miłość?
- Nie potrafię zidentyfikować uczucia, które zapanowało nade mną, które mną owładnęło. Czy kochałem Helenę? Czy Kocham wciąż Daszę? Jeśli to jest miłość, jeśli miłość powodowała mną wtedy, kiedy to robiłem. . . miłość w takim razie jest wymysłem Szatana.
- Przecież nie wierzy pan w Boga. Szatan jest nierozłączny z Bogiem. Bez jednego, nie byłoby drugiego.
- Chodziło mi o takie powiedzenie. Po prostu miłość jest zła. Spotkałem się kiedyś z opinią, że miłość do człowieka jest bluźnierstwem wobec Boga.
- Ciekawe – mruknął mężczyzna z dolnej pryczy gładząc swoją rękę.
- Ja zawsze – kontynuował po przerwie. – Uważałem, że miłość jest darem od Boga. On nas kocha, więc i my Kochamy Jego. . .
- Właśnie! – wykrzyknął rudowłosy – Jego, nie siebie.
- Och, sam już nie wiem.
- Podobno – wyszeptał mężczyzna z górnej pryczy. – Grzech pierworodny polegał nie na zerwaniu jabłka, a na miłości kobiety do mężczyzny.
- Kto to panu powiedział?
- Wyczytałem w jakiejś książce. Jabłko miało być metaforą stosunku seksualnego. Wcześniej była tylko miłość, do Boga, do zwierząt, do świata, do siebie. Ale pierwsi ludzie zbezczeszcili to uprawiając miłość się ze sobą. Za to Bóg wygnał ich z Raju – miejsca czystego, w którym miłość nie była sprowadzona do parzenia się ze sobą. Czasami myślę, że moje uczucie do Heleny też było czyste do póki nie poszliśmy ze sobą do łóżka.
- Co też pan mówi?! Stosunek jest ukoronowaniem miłości. Najwyższym oddaniem.
- Nie oddaniem, a ofiarą. Człowiek jest istotą niedoskonałą. Wydaje mi się, że nie wyszliśmy panu Bogu, jeśli Bóg oczywiście jest.
- Nie zgadzam się z panem. Właśnie, że jesteśmy prawie doskonali. Stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. . .

– Ocho! I tu pana mam. Nie wiem, jak pan, ale ja czytałem Biblię. W historii o stworzeniu świata pojawia się najpierw wzmianka, że stworzył pierwszych ludzi na swoje podobieństwo, a potem jest opis Raju, aż nagle pojawia się znowu opis stworzenia ludzi. Tym razem jednak z gliny mężczyzny, a kobiety z jego żebra, i nie ma wcale mowy o podobieństwie.

– Co pan sugeruje?

– To, że albo ktoś popełnił pomyłkę przy przepisywaniu starych zwojów, albo, że Bóg stworzył dwie pary pierwszych ludzi.

– Jak to?

– Pierwszą parę na swój obraz i podobieństwo, a drugą z gliny i żebra. Ta na jego podobieństwo musiała zrobić coś, co go rozgniewało. Czytałem kiedyś, że byli bardzo piękni i niemal doskonali. Stali się jego aniołami. Mieli moc podobną do Jego i stworzyli więcej takich doskonałych istot. Niestety pierwsza kobieta była nad wyraz piękna. Sam Bóg zakochał się w niej. Zapragnął jej dla siebie. Wtedy zbuntował się przeciwko niemu pierwszy z aniołów. Razem z tą piękną i kilkoma innymi aniołami uciekli z Raju na ziemię.

– Szatan, tak? To miał być Szatan?

– A ma pan ciekawszy pomysł na to, jak powstało Szatan?

– Tak. Bóg był jednością kiedy stwarzał świat. Wszystkiemu co stwarzał dał część siebie. Powołał jednak człowieka, a ten zabrał najwięcej z Boga. Powstało coś, co ludzie nazywają Szatanem. Drugim Bogiem. Ta istota rozumiała ludzi. Nie czyniła zła, to ludzie sami czynili zło. Ta istota po prostu była alter ego Boga. Bóg nie mógł zniszczyć jej, bo zniszczył by siebie i ludzi. Musiał się więc pogodzić z jej istnieniem.

– A więc według pana Szatan kocha i rozumie ludzi, a Bóg... Właśnie, a co Bóg?

– Bóg ich nie rozumie. Jest, jak dziecko, które stara się poznać, ale minie jeszcze wiele lat zanim pozna i zrozumie.

– Bóg pod postacią dziecka, a Szatan... .

– A Szatan pod postacią starszego, siwiejącego pana z laseczką i w kremowym garniturze.

– Niech pan się przyzna, czytał pan gdzieś o tym?

– Tak. Opowiadanie z lat mojej młodości.

– Niech pan opowie.

– Starszy wdowiec poznaje na cmentarzu odwiedzając grób swojej żony Szatana. Nie wie o tym jednak. Diabeł przychodzi na grób swojej jedynej miłości, na którą czekał całe swe istnienie. Wiedział, że kiedyś przybędzie, a kiedy już się urodziła, to sama go odnalazła. O tym wszystkim główny bohater dowiaduje się czytając listy, które Szatan przynosił na grób ukochanej. Postanawia popełnić samobójstwo, tak, jak ona, aby dowiedzieć się co jest po śmierci. A może dla tego, że już nie może znieść życia bez swojej żony? To nie zostaje wyjaśnione.

– Żałuję, że nie przeczytałem tego opowiadania. Za młodu dużo czytałem, później jednak nie miałem czasu.

– To mało znany autor. Tekst ten podsunęła mi Marill. Ona lubiła czytać. Wręcz pochłaniała powieści, nowele, opowiadania. Mówiła, że wyobraża sobie wtedy, iż jest głównym bohaterem, albo bohaterką. Ze to ją spotykają wszystkie te przygody. Wolą te książki od normalnego życia.

– A sama pisała? Znałem kiedyś pisarza, który właśnie tak zmotywował swoje działanie. Powiedział: „Piszę, ponieważ czuję się, jakbym tworzył świat. Odrębny świat, światy. Czuję się, jak Bóg. Daję życie moim bohaterom, ale oni sami kierują nim. Ja stwarzam ich od podstaw, buduję świat, w którym żyją,

powołuję ich rodziny, kształtuję ich historię, ale oni mają wolną wolę. Czasami jestem zaskoczony tym co zrobią, czy powiedzą . Piszę o tym, ale zdaję sobie z tego sprawę dopiero, jak to przeczytam” .

– Pisała. Wiersze. Początkowo nie chciała, abym je czytał, chyba się wstydziła. Później mi to wyjaśniła, kiedy już dała mi jeden ze swoich wierszy do przeczytania. Powiedziała: „Czytając to, to tak, jakbyś zagłębiał się w moją duszę. Poznasz moje myśli i pragnienia, o których sama nie wiem do póki tego nie napiszę” . Bała się, że mógłbym wyśmiać ją, albo nie zrozumieć.

– Brakuje mi tu książek. Czas szybciej by zleciał.

– W takim miejscu mówić o czasie.

– Tak, rzeczywiście. No cóż. Czy Marill była ładna?

– Miała trochę za duży nos, ale dla mnie była. . . piękna.

– Zastanawiał się pan, jakie byłyby wasze dzieci?

– Czasami. Marzył mi się chłopczyk o kręconych blond włoskach i niebieskich, jak lazur oczach. Takie właśnie miała Marill. Jej było obojętne, czy to będzie chłopczyk, czy dziewczynka i jak będzie wyglądało.

– Jestem jedynakiem. Kiedy Helena zaszła w ciążę nachodziły mnie myśli, że nie będę potrafił rozmawiać z tym dzieckiem. Że nie będziemy się rozumieć. Któregoś dnia przyjdzie, powie, że mnie nienawidzi i trzaśnie drzwiami. Może wyśmieje moje felietony, obrzuci kilkoma epitetami, a ja nie będę potrafił się bronić, ponieważ wciąż przed oczami będę miał obraz go lub jej, kiedy byli mali. Kiedy przychodzili na kolana, ja ich łaskotałem. Kiedy czytałem im bajki przed zaśnięciem, a oni zaglądali mi przez ramię, aby obejrzeć obrazki w książkach. Bałem się. Bałem się, że nie będę miał nic wspólnego z tym dzieckiem. Że kiedyś się mnie wyprze.

– Ja nie zastanawiałem się nad tym. Miałem trudniej. Dziecko, które miała urodzić nie było przecież moje. Ale cieszyłem się. to ja pomagałbym w jego wychowaniu. Cieszyłem się tak, jak cieszyłbym się z psa, czy nowego komputera. Nie było mi jednak dane przekonać się, jakim byłbym ojcem. Może to dobrze? Nie potrafię wyobrazić sobie rozmów o bogu, czy seksie z dzieckiem. Mam problemy, aby rozmawiać z obcymi o czymkolwiek, a co dopiero z dzieckiem. Poza tym pewnie denerwowałoby mnie, że nic nie wie, nic nie rozumie. Nie potrafiłbym mu wyjaśnić co czuję.

– Wydaje się panu. Ja znalazłem wspólny język z Daszą. Była już wtedy duża, a to o wiele trudniejsze. Pamiętam ją, jako małą dziewczynkę. Fascynował mnie jej rozwój intelektualny. Byłem zazdrosny, ale to nie zmienia faktu, że ją podziwiałem. Obserwowałem potajemnie, jak się uczy, rośnie, rozwija. To fascynujące. Zaczęła budować dłuższe zdania, opowiadać, co też robiła, skakać. Człowiekowi wydaje się, że to takie proste, ale kiedy widzi dziecko, które dopiero wtedy się tego uczy. . . to nie do opisania. To wręcz cud. . . Była urocza we wszystkim co robiła. Czynności wykonywała z gracją i pasją jednocześnie. Wszędzie było jej pełno. Helena nazywała ją „małą myszką”, a ja motylkiem. Tak moja Dasza. . . Mój maleńki motylek. Nie wierzę w miłość, ale moje uczucia do córki temu zaprzeczają. Wyobraża pan sobie? Człowiek który kwestionuje miłość, zabija właśnie z miłości.

– Paradoks. Ja nie wypieram się, że kochałem Marill. Nadal ja Kocham. Najczystsza, najdoskonalsza miłością. Czy może pan sobie wyobrazić, że kochaliśmy się tylko raz?

– Raz?

– Tak, raz. Jeszcze nie miała brzucha. Później bałem się z nią kochać. Do tej pory nie wiem, czy oddała mi się w taki sam sposób, jak temu wcześniejszemu chłopakowi, z którym mieszkała, czy nie? Z litości, z obowiązku, czy z miłości?

– Niech pan się nad tym nie zastanawia.

– To był wspaniały moment. Mówiłem panu, że wtedy z tego mostu zabrałem ją do domu. Spaliśmy w jednym łóżku, to ona to zaproponowała, ale się nie kochaliśmy. Tamten chłopak jej szukał, ale nigdy nie znalazł. Tego dnia wróciłem zmęczony z pracy i w żartach powiedziałem, że mogłaby poprawić mi humor seksem. Roześmiała się. Często tak się droczyliśmy. Późno w nocy obudziłem się wiedziony, jakimś dziwnym impulsem. Nie było jej przy mnie. Przeraziłem się, że i o de mnie uciekła. Wtedy ją zobaczyłem. Stała na balkonie. To był środek zimy. Jej usta się poruszały, mówiła coś. Modliła się? Wzywała dawno zapomnianych bogów? Wzywała Szatana? Nie wiem. Wyszedłem i zabrałem ją do pomieszczenia. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Zrobię co zechcesz” poczym się rozebrała. Kochaliśmy się, a ja przeżywałem rozkosz za rozkoszą. Nigdy więcej mi się nie oddała. Teraz dochodzę do wniosku, że być może miała taki sam pogląd na miłość, jak pan. Że nie należy jej bezcześcić.

– Tak bardzo przeżyła pańską zdradę, nie dla faktu, a dla tego, że zbecześcił pan łączące was uczucie. Dlatego, iż pokazał pan, że traktuje miłość, jako parzenie się. Do tego ją pan sprowadza.

Nagle otworzyły się drzwi wpuszczając do pokoju trochę światła. Stał w nich młody, piękny chłopak. Uśmiechnął się i wskazał mężczyznę z dolnej pryczy.

– Wzywają pana – mruknął rudowłosy. – Ma pan szczęście. Życzę powodzenia.

– Ja panu także – odpowiedział i już wychodził. W pewnym momencie jednak odwrócił się i spojrzał na „Nowego”.

– Proszę mu wszystko powiedzieć, dobrze?

– Dobrze – zgodził się mężczyzna z górnej pryczy. Jego towarzysz uśmiechnął się i wyszedł.

Rudowłosy usiadł i spojrzał w dół na chłopaka.

– A więc dobrze. Zacznijmy od tego, że zabiłeś swoją ukochaną, a potem, tak, jak my wszyscy popełniłeś samobójstwo. . .